

ks. Jan Kaczkowski



A

~~pieniądz~~

czł

wieka

widzi?

Raz jeszcze

DOŚĆ
KATOLIPY!

RTCK

ks. Jan Kaczkowski

A

0.50 $\frac{20}{40}$

~~pieniądze~~

0.66 $\frac{20}{30}$

czł o

0.80 $\frac{20}{25}$

w i e k a

1.00 $\frac{20}{20}$

w i d z i ?

1.25 $\frac{20}{16}$

Raz jeszcze

**DOŚĆ
KATOLIPY!**

**„Nie potrzebują
lekarza zdrowi,
ale ci, którzy się
źle mają”**

Łk 5,31

***Był taki facet...
trochę dziwny, słabowidzący.
Kochał ludzi i chciał zrobić
coś dobrego...***

***Józef Kaczkowski
ojciec ks. Jana Kaczkowskiego***



OD WYDA WCY

Rok 2015

Mija kolejna godzina podróży. Jedziemy na spotkanie z człowiekiem, którego do tej pory znałam tylko z telewizji. Ciężko go złapać, wciąż jest w trasie. Udaje nam się umówić w małej miejscowości w Bieszczadach, prawie przy granicy z Ukrainą. Aktualnie tam głosi rekolekcje. Trochę błądzimy (obydwa telefony w jednym momencie straciły zasięg), ale z pomocą miejscowych trafiamy pod właściwy adres. Mam wrażenie, że dotarliśmy na koniec świata.

Przed małą, starą chatupinką, na drewnianej ławeczce przy stercie dachówek siedzi On. Spokojny, elegancki, w koloratce, jakby wyrwany z innego krajobrazu. Podpiera się na lasce. Zamyślony, choć widać, że na kogoś czeka. Scena jak z filmu. Na nasz widok uśmiecha się i od razu żartuje.

Zamiast na plebanii, wybrał nocleg u przyjaciela (żywa kopia Bohuna z „Ogniem i mieczem”!) w wiekowym domu jego babci. Poczęstował nas nieziemsko mocną kawą ze starej włoskiej kawiarki. Wokół nas rozpościerały się widoki warte milion dolarów. Czysta poezja...

Przyzwyczaiłam się do jego obrazu z ekranu telewizora, gdzie pojawiając się w różnych programach publicystycznych i rozrywkowych, o sobie i swojej chorobie mówił z dużym dystansem. Na żywo, jak się okazało, rozbija otwartością i humorem. Jest pełen „staromodnej” szarmancji. Po dwóch minutach wiemy już, że przepada za mięsnymi potrawami, zwłaszcza polędwicą. Nie znosi sztywniactwa, nadęcia i taniego „moralizatorstwa”. Żyje na maksa, kocha na sto procent. To ktoś naprawdę wyjątkowy.

Kolejny telefon. Zastanawiamy się nad treścią konferencji. Wcześniej łąpałam go telefonicznie raz w pociągu („Kocham pendolino!”), raz w samochodzie. Rzadko kiedy udaje się umówić na spokojną rozmowę, kiedy siedzi przy biurku. W końcu znajduje wolniejsze trzydzieści minut i zaskakuje mnie telefonem (akurat parkowałam samochód pod jedną z galerii, trudno ukryć

– *handlową*). Wyciągam z torebki trochę pomięty notatnik, długopis i notuję.

– *Muszę powiedzieć, że w pomaganiu i w ogóle w jakimikolwiek działaniu nie znoszę lipy, zwłaszcza katolickiej lipy – zaczyna.*

– *Ma się rozumieć – odpowiadam.*

– *Pomagać mądrze i dobrze trzeba, posługując się najlepszymi dostępnymi środkami, a nie takie byle co. Nie mam w sobie zgody na partactwo.*

Zapisałam już kilka kartek. Ksiądz Jan mówi o swoim doświadczeniu pracy w hospicjum. Sypie anegdotami jak z rękawa. Śmiertelnie poważny staje się tylko wtedy, kiedy mówimy o profesjonalnym podejściu do pomocy i szanowaniu wolności drugiego człowieka.



Oprócz tematu skutecznego pomagania, czyli świadectwa swojego życia, który ks. Kaczkowski rozwinął na pierwszym wspólnym nagraniu pt. *Samarytanin, kapelusznice i kot*, drugim ważnym tematem była kwestia wszechobecnej w Kościele „katolipy”.

Zdaję sobie sprawę, że ten temat został dość odważnie nazwany. Tym bardziej zależy nam na tym, żeby być dobrze zrozumianym. Nie chcemy, by ktoś

tę publikację potraktował jako atak na katolickie działania. Widzę w niej raczej wołanie o dążenie do doskonałości (zwłaszcza w katolickiej przestrzeni), które zostało nam przecież przykazane przez samego Pana Jezusa w słowach: „Bądźcie więc wy doskonali, jak doskonały jest Ojciec wasz niebieski” (Mt 5,48). Święty Ignacy dodaje, że nie jest dobrze, jak Najświętszy Majestat czci się jakąś lichotą, zaś Jan Paweł II z mocą woła: „Musicie od siebie wymagać, choćby inni od was nie wymagali”.

W RTCK już na początku naszej działalności postawiliśmy sobie pytanie: Czy możemy robić cokolwiek byle jak, byle gdzie – byleby było?

Skąd taki dylemat? Popatrzmy na przestrzeń działań katolickich. W niektórych kręgach przyjęło się, że to, co katolickie, nie musi być dobrej jakości ani na wysokim poziomie. Zdarza się, że katolickie imprezy, literatura czy inne działania kojarzone są (często, niestety, słusznie) z niskim poziomem. Nieraz nawet sami katolicy żyją w przeświadczeniu, że przygotowując dzieła dla Boga, można zrobić „cokolwiek” i „jakkolwiek”, byleby było. Jakość to ostatnie, co bierze się pod uwagę. Forma mocno nie współgra z treścią czy przesłaniem. Dotyczy to nie tylko sfery zawodowej, ale przekłada się także na każdą inną. Ilu

z Was, pytając znajomych: „Co słyszać?”, uzyskiwało odpowiedź: „Jakoś leci”, „Jakoś pcha się”? Czy to jest świadectwo? Dobra Nowina dla innych?

Dostaliśmy przykazanie: „Idźcie na cały świat i nauczajcie wszystkie narody” (Mt 28,19). Dziś świat oferuje nam wiele dobrych i ciekawych rozwiązań technicznych, a wielu z nas obdarzonych jest wspaniałymi talentami – istnieje prawdziwa mnogość bardzo dobrej jakości środków przekazu. Wszystko to pomaga być lepiej słyszany, bardziej widocznym, po prostu bardziej skutecznym w działaniu. Korzystanie z tych środków to nic innego jak wyraz roztropności. Ksiądz Piotr Pawlukiewicz, mówiąc o „typach” katolików, wspominał kiedyś o, niestety, dość częstej postawie „BMW”, czyli bierny, mierny, ale wierny. Bierność i nijakość to zaprzeczenie chrześcijaństwa!

Poruszenie ks. Jana tematem „katolickiej lipy” wyraźnie wybrzmiewa w tej książce. Przykłady zaniedbań, które dość dosadnie opisuje, to wyraz jego autentycznej troski o szacunek do naszej wrażliwości i o zwyczajną ludzką przyzwoitość w tym, co robimy. Jako prezes Puckiego Hospicjum ks. Jan prowadził jeden z najlepszych i najnowocześniejszych ośrodków

pomocy hospicyjnej w Polsce. Szczycił się tym i stawiał to sobie za punkt honoru. W jego placówce nie było zgody na bylejakość. Zaczynając od siebie, wymagał profesjonalizmu od każdego pracownika.

Takich pozytywnych przykładów jest oczywiście o wiele więcej.

Zobaczmy, że święci nigdy nie pozwalali sobie na budowanie „nijakich” Bożych dzieł ani posługiwanie się marnymi środkami. Skromny kapucyn z San Giovanni Rotondo, o. Pio, był założycielem najnowocześniejszego na świecie szpitala przynoszącego ulgę najbardziej cierpiącym, który oprócz doskonale przeszkolonego personelu mógł się pochwalić najlepszej jakości sprzętem i pięknym wystrojem. Do dziś szpital ten cieszy się wysoką renomą. A o. Maksymilian Kolbe? Złożenie przez niego patentu na aparat umożliwiający podróżę w kosmos w 1915 roku to tylko jeden z przykładów potwierdzających tezę, że święty nie boi się wyprzedzać swoich czasów rozmachem i jakością w działaniu.

W RTCK jesteśmy przekonani, że to, co chrześcijańskie, katolickie, zasługuje na najlepszą oprawę z możliwych. Nie ma przecież treści ważniejszych niż Dobra Nowina ani większego i ważniejszego „Szefa”, dla którego można pracować, niż nasz Stwórca.

Święty Jakub w swoim liście pisze: „Kto zaś umie dobrze czynić, a nie czyni, grzeszy” (Jk 4,17). Raz jeszcze dość katolipy! Zapełnijmy nasz świat rzeczami i przedsięwzięciami tak pięknymi i dobrymi jakościowo, że temu pięknu nie będzie można się oprzeć. Bądźmy dumni z owoców naszej pracy. Działajmy w przestrzeni publicznej, inspirujmy do dobrych rzeczy. Wzorujmy się na najlepszych.



Jesteśmy po konferencji. Za nami cały dzień intensywnej pracy. Ostatni uczestnicy otrzymali autografy i zdjęcia z autorem, kolejka po błogosławieństwo zmalowała. Na twarzy księdza Jana nie widać ani pół grymasu zmęczenia, choć wiem, że każdy krok dużo go kosztuje.

Wracamy samochodem do miejsca, gdzie mieszkamy. Jest grubo po dwudziestej pierwszej. Do księdza Jana dzwoni telefon (prawdę mówiąc, telefon dzwoni co chwilę, przez cały dzień). Tym razem może spokojnie odebrać, przed nami nie mniej niż trzydzieści minut drogi.

– Kaczkowski, słucham. Która u was jest godzina?... Nie, nie, nie jest za późno, proszę podać ją do telefonu. Następuje chwila ciszy.

– *W jakim tato jest stanie?* – Ksiądz Jan zmienia ton na niezwykle delikatny i czuły.

Rozpoczyna się rozmowa, jedna z tych, w których (dzięki Bogu) większości z nas nie jest dane uczestniczyć zbyt często. Rozmowa o życiu i śmierci. Dostownie.

– *A jak ty czujesz? Co ci serce podpowiada?* – pyta jeszcze subtelniej ksiądz Jan.

Kobieta dzwoni z USA. Jak się później dowiedzieliśmy, ledwo mówiła po polsku. Przez znajomego kapłana udało jej się poprosić o konsultację z księdzem Janem. Ma do podjęcia decyzję o podłączeniu umierającego na raka ojca do respiratora. Rozmowa trwa kilka chwil. Moje serce bije szybciej, bo domyślam się jej treści, ksiądz Jan natomiast jest spokojny i niezwykle skupiony.

– *Cieężko mi dokładnie doradzić przez ocean, na odległość i telefonicznie. To naprawdę trudna decyzja i próbuję panią rozumieć. Powiem tylko tyle, gdybym był na pani miejscu...* (Tu ksiądz Jan zaproponował rozwiązanie jego zdaniem najwłaściwsze w tej sytuacji).

Nastąpiła chwila ciszy.

– *Tyle mogę dla pani zrobić. Proszę postąpić tak, jak dyktuje pani sumienie* – dodał na koniec jeszcze delikatniej.

Są takie momenty, czasami bardzo krótkie, a czasami nieco dłuższe, kiedy patrzy się na człowieka i widzi się

go jakby w całej krasie. Widzi się go w samym sercu jego powołania. W samym centrum bycia człowiekiem, wyjątkowym, takim, jakim wymyślił go Stwórca. Tego nie da się przeoczyć. W tej krótkiej chwili takiego właśnie człowieka widziałam. Siedział obok mnie.

Odłożył słuchawkę. Krótką chwilę milczał.

– Naprawdę kocham to, co robię – powiedział jakby sam do siebie.



Rok 2022

Minęło 7 lat, a wszystko, o czym ks. Jan mówił podczas konferencji w 2015 roku pozostaje aktualne. I to jak! Zapewne nie wydawalibyśmy tej książki, w której pada niejedno gorzkie słowo krytyki względem przestrzeni kościelnej, gdyby nie nasze pełne przekonanie, że ks. Jan mówił o tym tylko dlatego, że kochał Kościół całym sercem i chciał jego przemiany. Zresztą wiele razy wprost to deklarował.

Choroba, która zabrała tego niezwykłego człowieka w tak młodym wieku, tylko dodawała mu odwagi, by jeszcze gorliwiej walczyć o dobro w Kościele, w którym przede wszystkim i na pierwszym miejscu

powinniśmy widzieć CZŁOWIEKA i przez pryzmat troski o dobro naszej siostry lub naszego brata realizować przykazanie miłości.

Potrzebujemy tej książki dziś jeszcze mocniej niż 7 lat temu.

Popatrzmy raz jeszcze na siebie i Kościół oczami „Johnny’ego” – jak wołali na ks. Jana przyjaciele – bo może się okazać, że tylko patrząc oczami osób „niepasujących”, „niepełnosprawnych” albo „idących na przekór” zobaczymy prawdę. A prawda połączona z miłością wyzwala. Zawsze.

Renata Czerwicka

redaktor naczelna Wydawnictwa RTCK

- Zgodzę się na wszystko, tylko powiedzcie:
Nie jesteście za bardzo „kościółkowi”? – Ksiądz
Kaczkowski lekko się uśmiecha, gdy to mówi.*
- Nie bardzo – odpowiadam.*
- To dobrze. Możemy działać.*



0.20

$\frac{20}{100}$

0.25

$\frac{20}{80}$

W S T Ę P

0.33

$\frac{20}{60}$

0.40

$\frac{20}{50}$

N I E

0.50

$\frac{20}{40}$

C H C I

0.66

$\frac{20}{30}$

E L I

0.80

$\frac{20}{25}$

M N I E

1.00

$\frac{20}{20}$

Ś W I

Ę C I Ć

1.25

$\frac{20}{16}$

Nie chcieli mnie święcić.

Cały czas był problem z tym moim wzrokiem. A miałem bardzo przyzwoitego rektora. Przed przyjęciem sutanny poszedłem do niego i mówię: „Księżę rektorze (bo wtedy jeszcze wierzyłem w Kościół instytucjonalny jak w partię komunistyczną), proszę mi zaufać. Jak poczuję, że nie będę w stanie bez obciachu służyć Kościołowi, to sam zrezygnuję”. To chyba zrobiło na nim wrażenie. Klepnął mnie w ramię i powiedział: „Jan, jak cię do końca trzeciego roku nie wyrzucę za wzrok, to wyrzucę cię za wszystko inne”. A miał za co. No ale niestety potem się zmienili i zabawa zaczęła się od nowa.

Na radzie profesorskiej, która jest niby tajna (a wszystko oczywiście zawsze wychodzi), podzielili się na tych inteligentniejszych, którzy chcieli mnie święcić, i tych mniej, którzy byli przeciwni. Nie

powiem, trochę mi to nawet imponowało. Jeden wielki tego świata z takim charakterystycznym ścisłoszczękiem mówił: „On będzie ośśśśmieszeniem kapłaństwa”, na co ja pomyślałam: „Jak ty, kolego sympatyczny, byłeś ośmieszeniem przez trzydzieści lat, to jeśli ja kilka lat pobędę, to się naprawdę nic nie stanie”.

Tak więc dyskutują, święcić czy nie święcić: arcybiskup Gocłowski i mój późniejszy proboszcz, który uczył w seminarium, i jeszcze jeden ksiądz, mój obecny przyjaciel, kochany ksiądz Kownacki¹. No i on mówi (a mówił bardzo brzydko): „Kurrrrde, święcić kaczkę, święcić, kaczką w porządku, święcić”. Na co arcybiskup Gocłowski pyta drugiego profesora, księdza Jana: „A ksiądz profesor jakie ma zdanie na ten temat?”. A ten, stary kpiarz, mówi: „A pieniądze widzi?”. Wszyscy: „Hehehe, widzi”. „To święcić”.

No i tym sposobem mnie wyświęcili.

¹ Najprawdopodobniej chodzi o ks. Jerzego Kownackiego, gdańskiego kapłana, wieloletniego wykładowcę w Seminarium Duchownym w Oliwie. Ksiądz Kownacki zmarł w 2021 roku.

0.20

$\frac{20}{100}$

0.25

$\frac{20}{80}$

0.33

$\frac{20}{60}$

0.40

$\frac{20}{50}$

0.50

$\frac{20}{40}$

0.66

$\frac{20}{30}$

0.80

$\frac{20}{25}$

1.00

$\frac{20}{20}$

1.25

$\frac{20}{16}$

1

POPULARNOŚĆ
POD
PRĄD

Publicznie zaczęto o mnie mówić „ksiądz celebryta...”. Wkurzało mnie to potwornie!

Nieszczęśnicy z RTCK zaprosili mnie, żebym opowiedział trochę o Jezusie Celebrycie. Dlaczego tak? No, nie ma na świecie bardziej znanej postaci niż sam nasz Zbawiciel Jezus Chrystus! A dlaczego właśnie mnie zaprosili?

Na pewnym etapie mojego chorowania i występowania publicznie zaczęto o mnie mówić „ksiądz celebryta”. Wkurzało mnie to potwornie – celebryta jest przecież znany głównie z tego, że jest znany. Kompletnie mi to nie pasowało, nie chciałem występować w jednej linii z celebrytami, którzy przez samo to swoje celebryctwo aspirują do roli twórców jakichś apriorycznych sądów moralnych.

Jest taka dosyć popularna katolicka radiostacja – ja zasadniczo jej nie słucham, ale na pewnych rzeczach

się wzoruję – w której pojawia się taki specyficzny głos, który mówi: „Nawet najmniejsza kwota – byleby regularna – pozwoli rozwijać się naszym dziełom”. A ponieważ trzeba uczyć się od najlepszych i samemu powiedzieć słuchaczom to, czego od nich potrzebujemy, wymyśliłem sobie – ja sam siebie tak ochrzciłem, dementuję teraz wszystkie inne wersje – że nie jestem celebrytą, tylko onkocelibrytą. Co prawda znaleźli się tacy, którzy mówili, że to mnie podnieca i że zamiast być onkocelibrytą, jestem onkofilem. Tym wszystkim odpowiadam bardzo krótko: zamieńcie się.

Teraz już poważnie. W pewnym okresie życia, mówiąc bardziej szczegółowo: dzięki pracy w hospicjum² stałem się w powiecie bardzo popularny. W powiecie puckim, ewentualnie w powiecie wejherowskim. Można powiedzieć, że byłem taką powiatową Dodą. (Jaki powiat, taka Doda...). Kiedy moja gęba stała się już bardziej rozpoznawalna, stałem się Dodą Pendolino. Bo ja bardzo często jeżdżę Pendolino (Niech pendolino żyje na wieki!). Często przemierzam wagony Pendolino, idąc do Warszawy na piwsko – a zawsze

2 Swoją działalność hospicyjną ks. Kaczkowski zaczął w 2005 roku od zorganizowania hospicjum domowego na terenie Pucka i okolic. Z jego inicjatywy i dzięki przeprowadzonym przez niego zbiórkom funduszy w 2009 roku w Pucku stanął budynek hospicjum stacjonarnego. Hospicjum, dzięki wsparciu tysięcy darczyńców, działa do dzisiaj.

chodzę w koloratce albo w sutannie – i słyszę takie szeptu (jestem ślepy, ale słuch mam świetny): „O, to ten chory ksiądz z telewizji!”. Właśnie dlatego myślę, że jestem Dodą Pendolino – większość społeczeństwa zaludniającego Pendolino mnie kojarzy.

Ja, będąc księdzem, staram się zachować celibat i mówić mniej więcej przyzwoite kazania. Ale czy to wystarczy?

Musimy sobie przede wszystkim odpowiedzieć na pytanie, co to jest przyzwoitość. Zwykliśmy mówić, że przyzwoici jesteśmy wtedy, kiedy nikogo nie zabiłiśmy, niczego nie ukradliśmy. Myślimy jedynie przez pryzmat tego negatywnego sensu – przyzwoitość to brak cech negatywnych, złych.

„Proszę księdza, ja to właściwie grzechów nie mam. Nikogo nie zabiłem, nikogo nie okradłem, jestem przyzwoity”. Okej, zgadzam się. Bycie przyzwoitym współcześnie, w tych trudnych czasach, nie jest łatwe. Tak dużo jest propozycji nieprzyzwoitych, które kuszą. Ale czy niezabijanie, nierabowanie, uczciwa praca – to jest już wystarczający poziom przyzwoitości, na której nam zależy?

Nie chcę, żeby ta moja opowieść przerodziła się w jakieś moralistyczne kazanie, ale chciałbym mocno

**Chciałbym mocno
zaapelować o przyzwoitość
z wektorem na plus –
czyli stałe odpowiadanie
sobie na pytanie, co mogę
zrobić więcej, niż tylko być
przyzwoitym.**



zaapelować o przyzwoitość z wektorem na plus – czyli stałe odpowiadanie sobie na pytanie, co mogę zrobić więcej, niż tylko być przyzwoitym. Bo czy fakt, że ja, będąc księdzem, staram się zachować celibat i mówić mniej więcej przyzwoite kazania, to jest już mistrzostwo świata? Przecież nie ma nic smutniejszego niż łajdaczący się ksiądz. Jeśli ktoś kocha dzieci, to ich nie głodzi i nie katuje. Ale czy to wystarczy? To jest tylko wychodzenie na zero.

Wychodzimy na zero, jesteśmy przyzwoici. A ja chciałbym zadać pytanie: co możemy dać więcej ponad samą przyzwoitość, także w kryzysie, także wtedy, kiedy spada na nas doświadczenie niezwykle trudne?

Zatem, wracając do sedna: czy bycie popularnym przystoi przyzwoitemu człowiekowi? Myślę, że tak. Im więcej przyzwoitych ludzi będzie popularnych, tym czytelniejsza będzie ich postawa, tym mocniejsze będzie ich świadectwo (tu znów powiem, że nie znoszę tej katolickiej nowomowy, jeszcze z takim kretyńskim przydechem).

... zawsze idę pod prąd...

À propos świadectwa, przypomniała mi się pewna historia z mojego życia. Bardzo dawno temu, kiedy chodziłem jeszcze do liceum, byłem Mateuszem,

takim nawróconym (ale to później) celnikiem. Czytałem wtedy „Gazetę Wyborczą” (zresztą do tej pory ją czytam, nie będę udawał, że nie czytam, jak czytam. Oczywiście z góry wiem, co „Wyborcza” napisze o konkretnych kwestiach, ale nie boję się rozmawiać ze wszystkimi stronami). Wracając do rzeczy: w liceum byłem pierwszym – nazwijmy to – ateistą. Trudno się zresztą dziwić, pochodzę z kompletnie laickiego domu. W moim liceum były jednak dwie dziewczyny, które koniecznie chciały mnie nawrócić. Za ambit postawiły sobie, że dzięki nim „wrócę na łono Kościoła”.

To wcale nie było proste zadanie. W tamtych czasach ksiądz wywalał mnie z lekcji religii, mówiąc: „Wyjdz, szatanie!”. Dostawał czerwonych plam na twarzy ze złości i stresu, gdy mu się zadawało jakieś pytanie na lekcji – delikatnie mówiąc, był słaby w swoim duszpasterzowaniu. Ale te dwie dziewczyny wzięły mnie na spotkanie wspólnot charyzmatycznych pod Poznań, do Konarzewa. Katolicka lipa pod każdym względem. Wielka hala. Wszyscy śpią pokotem. Brak pryszniców. Brak jakiegokolwiek zaplecza. I druga hala, w której działo się coś, co miało być mszą świętą. Prawdopodobnie nawet nią było, ale opowiem, jak to wyglądało. Na początku mnóstwo

świadectw typu: „Byłem sobie takim normalnym niedzielnym katolikiem. Nagle spotkałem wspólnotę XYZ. Dostałem w łeb od anioła albo poraził mnie prąd duchowy. Teraz jestem zupełnie odnowiony. Jestem zupełnie inny...”.

We mnie takie historie zawsze budziły sprzeciw. Proszę się nie oburzać, zwłaszcza jeżeli ktoś ma doświadczenie wspólnoty charyzmatycznej. Musimy po prostu szanować swoją wrażliwość. Chodzi mi o to, że będąc wyczulonym na ludzką krzywdę, odczuwałem w tym, co się tam działo, rodzaj podprogowej pogardy dla tych katolickich rzesz, które co niedzielę, często z mozołem, chodzą do kościoła. Tam postanowiłem, ponieważ zawsze idę pod prąd, że będę się próbował zbawić przez zwykły parafialny katolicyzm. Wolno mi? Wolno. Zacząłem więc sobie spokojnie chodzić do kościoła w niedzielę. Potem nawet nie tylko w niedzielę, ale również w tygodniu.

Po wielu świadectwach nastąpiła liturgia eucharystyczna... dwójka, czyli druga modlitwa eucharystyczna! Już tłumaczę, o co chodzi. Księża potwierdzają, a świeccy też mogą się tym kiedyś zainteresować, że gdy weźmie się do ręki Mszał rzymski, taką wielką czerwoną książkę, z której ksiądz odprawia mszę, można znaleźć miejsce, gdzie zapisana jest druga

modlitwa eucharystyczna. To najbardziej wysmyrane paluchami miejsce w mszale, tak jakby nie było innych modlitw eucharystycznych. Na przykład pierwsza wygląda tak, jakby ten mszał dopiero co z drukarni przyjechał, wyjątkowo rzadko jest używana. Ta najważniejsza część liturgii zajęła w Konarzewie cztery minuty. A później nastąpiło rozjechane uwielbienie: klaszczmy w łapki, kochajmy Jezusa...

Mnie w tamtym czasie wpadł w ręce jakiś stary mszałik mojego ojca – niezniszczony, bo nieużywany. Mój ojciec jest ateistą; ten mszałik został mu jeszcze od pierwszej komunii. Dopiero tam ktoś potraktował mnie poważnie i wytłumaczył, na czym polega msza święta, ofiara – wszystko, co się tam dzieje, co robi tam Jezus, znaczenie symboli, szat liturgicznych. Dzięki temu zacząłem po prostu szukać Pana Jezusa w moim życiu. Miałem nie mówić świadectw, a wyszło mi takie słabe świadectwo...

Popularność, oparta na odpowiadaniu sobie na pytanie: „W czym jestem dobry?“, a potem wykorzystywaniu tego, może działać bardzo dużo.

Popularność niejedno ma imię. W kontekście bycia dla parafian jest ona w moich oczach dobra.

Czasem jakiś kapłan musi sobie znaleźć jakąś niszę. Ja ją znalazłem w hospicjum i byciu w nim kapłanem. Uważam, że jestem w tym dobry – bardzo mi to dobrze działa na ego. Zwłaszcza gdy następuje moment, w którym zaczynam mieć poczucie, że już wszystko zawaliłem, wszystko schrzałem, mogę powiedzieć sobie: „W tym jesteś dobry, w tym jesteś okej”. To mi daje napęd pomimo kryzysów, dzięki temu nie wpadam w kompletną rozpacz typu: „Ja już nie dam rady. Już mi nowotwór przeżarł mózg i nigdy nikomu nic mądrego nie powiem”. Zawsze kiedy usiądę przy łóżku chorego, w jakiejś ekstremalnej sytuacji, wyzwalam się we mnie ukryte potrzeby, pokłady nie tyle emocji – choć oczywiście można powiedzieć, że działałam na emocjach – ile siły. (Znowu zaczyna mi z tego wychodzić świadectwo!) Czuję wtedy wyjątkową asystencję Ducha Świętego, mówię rzeczy, na które normalnie bym nie wpadł bez pełnego oddania się temu cierpiącemu, umierającemu człowiekowi.

Zdarza się czasem, że jestem traktowany jak ogólnopolski konsultant do spraw glejaków. Ludzie do mnie dzwonią i pytają o sposoby leczenia. Nie dalej jak wczoraj udzielałem telefonicznej konsultacji międzykontynentalnej, bo w Ameryce ktoś ciężko zachorował na nowotwór i pojawił się problem etyczny –

czy go podłączyć pod respirator czy nie. W takich sytuacjach znowu wiem, że jestem w tych sprawach ekspertem. Że mogę ocenić, co będzie jeszcze terapią wytrwałą, czyli zgodną z normami bioetycznymi, a co będzie już jedynie uporczywością terapeutyczną. Tego typu popularność, oparta na odpowiadaniu sobie na pytanie: „W czym jestem dobry?”, a potem wykorzystaniu tego, może działać bardzo dużo. Gdy dojdę do tego, że w tym jestem dobry, w tamtym jestem dobry, ale w czymś jestem kiepski, to raczej w to nie będę wchodził – będę wiedział, jak działać. (Ja na przykład jestem bardzo kiepski w kazaniach dla dzieci). Trzeba mieć świadomość tego, jakie mamy mocne strony, a jakie mamy strony słabe.

Chodzi o to, żeby – mówiąc po ludzku – woda sodowa nie uderzyła do głowy.

Oczywiście w byciu popularnym trzeba być bardzo – jak by to powiedzieli psychologowie – sklejonym w sobie. Cały czas pytać siebie o intencje. Czy jestem popularny dla samego siebie (czy ta popularność „robi mi dobrze” w takim egoistycznym sensie) czy też wykorzystuję swoją popularność dla idei?

Mówiąc bardzo, ale to bardzo uczciwie, ten glejak, który pojawił się w moim mózgu, nie jest niczym

pozytywnym. On jest kawałem świństwa. Choroba w ogóle jest kawałem świństwa. Nie można mówić, że Pan Bóg zsyła choroby. Choroba jest zawsze złem, choroba jest zawsze porażką systemu. Nie wolno mówić: „Kogo Pan Bóg kocha, temu krzyżyki zsyła”. *No way, never ever.* Absolutnie nie! Choroba to jest zawsze błąd systemu, błąd komórki przy podziale. Ten bydlak zagnieździł się w mojej głowie, a sensem jego trwania jest to, żeby mnie zabić. I nie da się go usunąć. Zgodnie ze współczesną medycyną nie da się z tego wyzdrowieć – gdybym chciał go usunąć, musiałbym usunąć cały mózg, a umówmy się, to nie byłoby szczególnie komfortowe.

Tak naprawdę stałem się popularny przez tego glejaka i... okej, godzę się na to. Jestem ekshibicjonistą, bo cały czas o tym glejaku opowiadam, co tak naprawdę nie jest specjalnie fajne. Przy okazji obnażam też trochę kulisy życia mojej rodziny. Nie wiem, czy moi najbliżsi są z tego zadowoleni.

I tu pojawia się pytanie o etykę. Na ile wolno mi opowiadać otwarcie o moich najbliższych, o ich problemach? Na ile wolno mi dla żartu, albo i nie dla żartu, opowiadać o nich, dawać taki, jak to się mówi po angielsku, feedback rodzinny?

Moi bliscy nie najlepiej znoszą ten mój ekshibicjonizm, choć rodzeństwo stara się czasem coś sobie na moją głębę załatwić. To dziwne, bo moja siostra jest prezesem dużej spółki, brat też prowadzi bardzo udane interesy, a jednak mówią, że dopiero gdy ktoś się dowiaduje, że są moim rodzeństwem, to wszystko nagle da się zrobić. Pomimo to myślę, że moi czytelnicy mają prawo wiedzieć, skąd pochodzę – dlaczego jestem taki dziwny. Mówię więc o tym, żeby być jeszcze bardziej autentycznym.

Chodzi o to, żeby – mówiąc po ludzku – woda sodowa nie uderzyła do głowy. Żebyśmy – ja albo inni celebryci, duchowni czy świeccy – nie uważali się za mistrzów świata, nie uczestniczyli w zjawisku, które nazywam rozszerzaniem autorytetu. Jeśli znam się na bioetyce – bo się znam – i na prowadzeniu chorych na nowotwory w końcowej fazie, to nie powinienem się nagle zacząć wypowiadać na tematy budowlane, choć niektórzy tak właśnie robią.

W pewnej znanej nam wszystkim radiostacji – nie wiem, czy to zauważyliście – często występuje właśnie takie rozszerzenie autorytetów. Wygląda to tak, że znana aktorka wypowiada się nagle o sprawach etycznych albo zaprasza się profesora doktora inżyniera Mariana Bąbla – przy całym szacunku dla wszystkich

Marianów i Bąblów – z jakiejś politechniki, który jest specjalistą z zakresu leśnictwa, i on tam wypowiada się na tematy moralne albo związane z geopolityką... A ludzie słuchają i myślą: „Profesor to mówi – to musi być prawda!”. Profesor, ale od zupełnie czegoś innego!

Telefon nagle przestaje dzwonić... Trzeba umieć sobie wyobrazić ten moment.

Pewnie ktoś pomyśli: „Czy powinienem być popularny? Przecież mi się wcale nie chce...”. Nie musicie być popularni. Myślę, że to, co możecie zrobić, to ocenić w kontakcie z danym celebrytą, czy sensownie wypowiada się na tematy, w których zabiera głos. Z drugiej strony spójrzcie na celebrytów miłośernie, bo często mają oni bardzo trudne i smutne życie, nieustannie są poddawani ocenie. Nie mówię tu wcale o zaczepianiu w pociągu. To jest banalne, a czasem nawet miłe.

Mój ojciec mawia: „Nie będę z tobą chodził po sopockim deptaku, bo ty jesteś jak miś w Zakopanem. Wszyscy chcą sobie z tobą zrobić zdjęcie”. A moja mama powtarza z kolei: „Będę z tobą wychodziła, jak mi kupisz nowy płaszczyk i buty”. Interesiera. A zatem apeluję, bądźcie łagodni wobec celebrytów,

często uwięzionych w klatkach popularności i niemających kontaktu z rzeczywistością.

Jak sobie radzić z popularnością? Trzeba zdawać sobie sprawę z tego, że jest dana i może być zabrana. Jednym nieostrożnym, niemoralnym ruchem możesz tę popularność zwyczajnie stracić.

Myślę, że bardzo częstym problemem aktorów, osób publicznych, polityków, zwłaszcza przegrywających wybory, jest to, że telefon nagle przestaje dzwonić. Trzeba umieć sobie wyobrazić ten moment, w którym być może przestanę pełnić jakąś funkcję, przestanę być popularny ze względu na cokolwiek. Skończą się codzienne telefony od redakcji, nie będę musiał autoryzować piętnastu wywiadów w ciągu tygodnia. Trzeba się na to przygotować, tak po prostu, jak na własną śmierć, która zasadniczo też jest końcem popularności, wyjąwszy beatyfikowanych i świętych (no i Elvisa, który jest przecież wiecznie żywy).

W każdym razie tak jak wszystko w życiu należy sobie wcześniej mentalnie zwizualizować i przeciwstawić, tak samo warto przygotować się na ewentualny brak popularności albo – przeciwnie – na taką popularność, która cię porwie ponad chmury. To też trzeba ćwiczyć, żeby się w takiej sytuacji nie oderwać ani od ludzi, ani od siebie, ani od własnego sumienia.

S P I S T R E Ś C I

Od Wydawcy	9
Wstęp. Nie chcieli mnie święcić	21
1. Popularność pod prąd	25
2. Katolicka lipa	41
3. Współcześni Zacheusze	69
4. W drodze do Jerycha	91
5. Hejt, szlam i brudne pieniądze	109
6. Inteligencja kapelusznicka	129
7. Szatu, jak mówiłem, nie ma...	147
Zakończenie. Jak będzie w niebie?	169
O Autorze	177

A człowieka widzi?

Nie chcieli mnie święcić. Cały czas był problem z tym moim wzrokiem. (...) Tak więc dyskutują, święcić czy nie święcić (...). No i on [ksiądz Kownacki] mówi (a mówił bardzo brzydko): „Kurrrrde, święcić kaczkę, święcić, kaczką w porządku, święcić”. Na co arcybiskup pyta drugiego profesora, księdza Jana: „A ksiądz profesor jakie ma zdanie na ten temat?”. A ten, stary kpiarz, mówi: „A pieniądze widzi?”. Wszyscy: „Hehehe, widzi”. „To święcić”. No i tym sposobem mnie wyświęcili.

fragment książki



Minęło 7 lat od spotkania, w czasie którego ks. Jan podzielił się z nami swoim spojrzeniem na Kościół i drugiego człowieka, a jego słowa nic a nic nie straciły na aktualności!

Jest to spojrzenie człowieka, który bez grama wątpliwości **kocha Kościół** i chce **jego przemiany**. I właśnie dlatego nie boi się poruszać kontrowersyjnych tematów. Gorzkie słowa krytyki pod adresem „**katolipy**” w Kościele łączą się z **ciekawymi historiami** spotkań z różnymi ludźmi, bo ks. Jan zawsze i w każdym **WIDZIAŁ CZŁOWIEKA**.

Raz jeszcze popatrzymy na siebie i Kościół oczami „Johnny’ego” – jak wołali na ks. Jana przyjaciele – bo może się okazać, że czasami tylko patrząc oczami osób „idących na przekór”, zobaczymy prawdę. **A prawda połączona z miłością wyzwala.**

Zawsze.

Cena: 36,90 zł

RTCK®
RÓB TO CO KOCHASZ


FUNDACJA im. KS. JÓZEFA JANKA
KACZKOWSKIEGO

RTCK WYDAWNICTWO
KSIĄŻKI, ĆWICZENIA ROZWOJOWE, KURSY
WWW.RTCK.PL/SKLEP

ISBN 978-83-67290-20-3



9 788367 290203